

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI

W pierwsze święta Bożego Narodzenia w Starym Domu rodzinie puściły wszelkie hamulce. Do tej pory święta kojarzyły się co najwyżej z kilkoma świeczkami, partyjką kart i dodatkowym kawałkiem peklowanego salcesonu przy wieczerzy, gdzieś w jakiejś lepiance albo wilgotnej norze; tak było zawsze, jak daleko sięgnąć pamięcią, wiek za wiekiem przez ponad tysiąc lat, od czasu, kiedy pierwszy osadnik zboczył z kursu i wylądował jako rozbitek na tej wyspie. To, że nestorka rodu, wróżka Karolina, miała gdzie mieszkać albo nie umarła śmiercią głodową podczas którejś z biegunowych zim, jakich Stwórca nie szczędził temu krajowi, było niewątpliwie zasługą jej szatańskich sztuczek i ciągłych targów ze światowymi decydentami różnego szczebla. Jeśli Boże Narodzenie miało być świętem radości z darów, jakimi obdarza nas życie, to dla Karoliny wróżki brzmiało to raczej jak kiepski żart. Ha, ha, ha! Albo Tomas, który utrzymywał rodzinę: od dawna miał w zwyczaju chlać w święta. To była pozostałość po wędrownym życiu z młodzieńczych lat, włóczędze po siedmiu morzach. Że nie wspomnę, iż to właśnie na Boże Narodzenie samotność najbardziej daje się we znaki tym, którzy nie

mają nikogo na świecie. No, może tylko podobnych samotników, których właściciel jednostki łaskaw był zatrudnić. Ale od czasu kiedy Tomas zszedł na ląd, a Lina przestała nawiedzać rynsztoki stołecznych ulic i pobrali się, każde święta były zjawiskiem dość kłopotliwym, oboje bowiem byli dumni ponad miarę; miało być albo wszystko, albo nic; a w tej ciemnej lepiance nigdy nic nie było, poza gromadką dzieci, które zresztą nie całkiem do nich należały. Dzieci odziedziczyła Lina po swojej siostrze, która, nie będąc równie biegłą w sztuczkach nieczystych i dobijaniu targów z decydentami świata tego, pożegnała ten padół łez i smyków, którzy nie znali ojca. Spośród całej gromadki tylko jedno było dzieckiem Liny. Gogo. Ale ona przyszła na świat na długo zanim pojawił się Tommi.

Z tym, że to już dawno nie były dzieci. Te, które teraz przynależały do rodziny, były dziećmi, które Gogo zdarzyło się powić z obcokrajowcami w ciągu minionych szesnastu lat. Przeżyła trójka. Mieszkały u Liny i Tommiego, których nazywały babcią i tatą. Dolli, najstarsza, była już damą i miała narzeczonego. Poza nią było dwóch chłopców: Baddi, oczko w głowie, jedenastoletni smyk, ciemny, żywy, o bystrym spojrzeniu – wszystkie baby twierdziły, że wyrośnie z niego wielki bawidamek – i Danni, dziewięcioletni samotnik o gigantycznych stopach. Wielu twierdziło, że to smutas. Częściej o Dannim mówiono: tamten.

– Jakie urodziwe dziecko z tego Baddiego – powiadali ludzie.

A ci, którzy lubili dzieci, dodawali po chwili milczenia:

– Tamten jest taki bardziej w sobie.

Lina i Tommi nigdy nie doczekali się wspólnych dzieci. Nie narzekali też na to, że muszą wychowywać potomstwo Gogo. Mogła więc ona nadal używać życia z obcokrajowcami. Co więcej, doszło do tego, że wyszła za jednego z nich, za syna najbogatszego narodu świata. Mniej by ją nie zadowoliło. Wiadomo. Bóg upodobał sobie Amerykanów, wszystko im sprzyjało; tak wielka była przychylność boża, że kiedy Gogo wyszła za jankesa, w życiu Liny i Tommiego zaświeciło łaskawsze słońce. Łaskawość polegała na tym, że obchodzili święta w nowym, własnym domu.

Wszyscy mieli na sobie eleganckie ubrania. Na stole pojawił się amerykański indyk, a w bawialni najpiękniejsze sztuczne drzewko w kraju – srebrnawe, przybrane błyskotkami i włosiem anielskim. Ozdoby choinkowe wniesiono do domu w kartonach, a prezenty wypełniały każdy kąt. Dla Tommiego szczytem ziemskich marzeń była możliwość wypoczynku we własnym domu, w odświętnym ubraniu, z cygarem w ustach. Tak żyli możnowładcy, a Tommi nim nie był i, jak sądził, nigdy nie miał zostać. Lecz tego wieczoru stary wilk morski zasiadł w fotelu w bawialni, przyodziany w nowy, ministerialny garnitur w brązowe prążki i otworzył prezent od swojej pasierbicy Gogo; paczka zawierała pudełko czarnych cygar. Kiedy Tommi zapalił pierwsze, doznał mrowienia z rozkoszy i pojął, co się dzieje. Resztę wieczoru siedział milczący, z głupawym uśmiechem na ustach i ćmił; unosiło się tyle dymu, że prawie nie było widać ścian. Jednak możnowładca wciąż zapalał nowe; pożerał dym, ba, pożerał nawet same cygara i kiedy w końcu podniósł się o północy, w oczach mu pociemniało i ledwo udało mu się doczołgać do łóżka, gdzie następne godziny

przeleżał, dygocąc z powodu zatrucia nikotynowego. Dolli również zległa chora w noc świąteczną, doświadczając straszliwych bólów żołądka, lekarz twierdził, że z ekscytacji dostała zatwardzenia. Damie przepisano olej rycynowy. Ależ się wstydziła! Stara Lina zawsze miała słabość do strojenia się w kolorowe szmaty, choć materiały nie pozwalały na więcej, jak na owcze barwy. A teraz dostała od Gogo suknię w wielkie róże, naszyjnik z pereł i bransoletkę, co pozwoliło tej realistce zatopić się w świecie marzeń. Stała przed lustrem i widziała w nim królową Wiktorię w pełnej gali. Przymierzała coraz więcej ozdóbek, przyczepiała sobie bombki do uszu, złotymi łańcuchami opasywała głowę, przypinała do sukni gwiazdy betlejemskie i wielobarwne ptaki, a kiedy przybył lekarz do Dolli i zobaczył Karolinę, bał się przekroczyć próg. Sądził, że jest ona jednym z trzech króli. Chłopcy dostali rękawice bokerskie i im robiło się później, z tym większą zaciekłością walczyli. Nikt nie pamiętał o świeczkach, które tu i ówdzie płonęły w bawialni, toteż kiedy już wszyscy poszli spać, zajął się stolik, potem karton z kolorowymi ozdobami z papieru, a bawialnię wypełnił ogień i dym. Całe szczęście, że Baddi obudził się, gdyż odczuł potrzebę skorzystania z klozetu. Zaalarmował babcię i tatę. Tommi porwał spod zlewu do połowy wypełnione wiadro na śmieci, nalał do niego zimnej wody z kranu i chlusnął zawartością w płomienie, po czym wybiegł, by znów napełnić wiadro. W tym czasie Lina wybiegła do pralni, gdzie w ogromnej balii moczyło się kilka fartuchów. Bez problemu wparowała z balią do bawialni i chlusnęła na źródło ognia, który zadławił się wśród syków i kłębów dymu. Później chłopcy mieli niejednokrotnie napełniać

balie wodą i próbować ją podnieść, lecz ciężkie to było zadanie. Balia z wodą ważyła ponad sto kilo, przeto czymś nadnaturalnym było, iż Linie udało się ją ruszyć. Prosił staruszkę o powtórzenie tego wyczynu, lecz ona psioczyła i wzywała Jezusa. Nie chciała o tym słyszeć. Pytali więc Tommiego, czy to prawda, a on rozmarzony, gładził się po głowie i mówił:

– Taa, chłopie, wtedy nas uratowała. Chata spłonęła – by na popiół! – Z drugiej jednak strony Tommi nie lubił wracać do tego pamięcią: wydarzenie wzbudzało w nim lęk przed ciemnością.

Po tym zajściu nigdy nie zapalono w domu ani ogarka; świece były zabronione i wyklęte, uważano je za maszyny piekielne. Kiedy później przychodzili domokrażcy sprzedający świece na cele dobroczynne dla wdów i sierot i proponowali Linie swój towar, ta wymyślała filantropom od podpalaczy i kazała kamieniami gonić z osiedla.

Te święta były stracone; śmieci, rozmokłe pogorzelisko i błoto w bawialni, a rodzina na pół skacowana przez następne dni. Później nie wolno było wspominać tych zdarzeń; od tego czasu święta były najspokojniejszym okresem w roku, prawdziwym świętem pokoju i radości. Światłem w ciemności.

Światło w ciemności.

Stary Dom otaczały tylko baraki.

Światło...

...zapala się w ciemności, która czarną zasłoną spowija czas i zimną ziemię.

Wiatr wieje znad szczytów lodowca.

Fale oceanu z ciężkim łoskotem łamią się o brzeg.

I tam było światło: w oknach tego szarego domu, nazywanego Starym Domem od dnia, w którym wyrósł z błota.

Stary Dom tętnił życiem. Zapach jedzenia z kuchni. Ciepły blues w piecach. Rodzina nie czuła się zagrożona, bo traktowała cały świat jak własny dom; mknęła ogromnymi, chromowanymi skrzydlakami, uważanymi za największe osiągnięcie zachodniego przemysłu. Oni tu w Starym Domu wsiadali do samolotów, tych wrzaskliwych, błyszczących ptaków stalowych, które pruły ciemność nad oceanem i docierały do innych światel, które dawały świadectwo życia gdzieś tam, na równinach kontynentów. Oczywiście droga wiodła zawsze z powrotem do Starego Domu, pełnego gwaru i muzyki: w kuchni mamrotano słowa wróżb i zaklęcia. W jednej z bawialni dźwięki akordeonu płąsały radosnego walca ponad pachnącą kawą. Ktoś bajdurzył łgarstwa złęknionym głosem. Dzieci śpiewały, płakały i śmiały się, a wypomadowani twardziele w ciemnych okularach strzelali z palców w takt dynamicznego rock and rolla.

– Czyżby świat się kończył? – pytano.

Ale przynajmniej niektórzy umierali i pewnego ciemnego dnia Stary Dom został wymazany. Komuś udało się jednak uratować światło i unieść ze sobą ze zgłiszcz...

Dziwne. Co jest takiego dziwnego w tej rodzinie? Może sama królowa, wróżka Karolina, słynąca z dziwactwa jeszcze w latach, kiedy nawiedzała rynsztoki stołecznych ulic i przeklinała złęknionych mieszkańców domów.

Wtedy była jeszcze ze swoją Gogo, jedynym dzieckiem, które powiła, z Gogo, która położyła podwaliny pod potęgę rodziny. Imperium! Gogo być może z wyglądu była podobna do matki, lecz różniła się od większości mieszkańców tego ponurego miasta tym, że zawsze się uśmiechała i blaskiem swego szczęścia opromieniała otoczenie. Zaś wróżka Karolina była naprawdę zapiekła. Nigdy nie widziano, by się uśmiechała; była zrzędliva i złośliwa. Do tego jeszcze uważano ją za wiedźmę. Z czarami, z cudem graniczyło to, że udawało jej się utrzymać przy życiu, samotnie wychowując dziecko po stracie rodziny – matki i sióstr, które pozostawiły w spadku tylko dzieci. Sama tedy włóczyła się z Gogo i osieroconymi dziećmi, często głodna, bez grosza przy duszy, bez dachu nad głową, nawet wtedy, gdy zaraza i wściekła pogoda dziesiątkowały ludność kraju, a świat ogarnięty był wojenną pożogą.

Kiedy rozpoczynają się dzieje rodziny? Może z chwilą narodzin Karoliny, bo była najstarsza. Jeśli w ogóle można mówić, że ktoś jest najstarszy w rodzinie; rodzice Karoliny też mieli swoje dzieje i swoich rodziców i tak dalej, i dalej. Nie, rozsądniej chyba zacząć opowieść w dniu, w którym Lina wyszła za Tomasza, któremu także na tym świecie doskwierała samotność, lecz był lekkiego usposobienia, jak każdy, kto wiele lat pływał po siedmiu morzach, nie mając w zasadzie innego celu niż ten, by z dnia na dzień czuć się w życiu jak najlepiej. Kiedy Tommi zszedł na ląd, zaraz odcisnął swoje piętno na obliczu rodziny, ten znany tancerz i zapaśnik. Odnaleźli się nawzajem. On i kobieta, która cieszyła się tak zszarganą opinią, że natychmiast po ślubie Tommi

stracił znakomitą posadę, jaką miał dotychczas: subiekt w obuwniczym.

Wtedy to zaczął sprzedawać towar dla jakichś kupców, został komiwojażerem i przemierzał miasto ciągnąc wóz konny. Było to dość dziwne, ba, powszechnie uważano to za idiotyzm. Na początku sam Tommi uważał to za idiotyzm, a nie widząc wyjścia, dawał w banię; te pijackie wyprawy Tommiego były bardzo długie i barwne. Wtedy to wokół niego zbierało się stado wesołych kompanów, szli razem do domu, gdzie Lina witała ich przekleństwami. Uważała, iż pijący opętani są duchem nieczystym. Krzykom i bijatykom w ich lepiance nie było końca. Po rozgonieniu towarzystwa Lina rzuciła klątwę na kompanów od kieliszka, a klątwa owa była potężna. Ludzie starali się przed nią umknąć, lecz przekleństwa i złorzeczenia Liny pognały za nimi, tak iż w końcu nikt nie odważył się pić z Tommim, coś dopiero mówić o odwiedzinach w jego domu. Tommi został więc sam, pijany i zrozpaczony. Dopiero w latach wielkiego kryzysu światowego pomału przestawał pić samotnie. Choć powiadają, że to nie kryzys był powodem, iż ludzie przestali od niego stronić. Przyczyną miały być dziewczęta, które powoli dorastały, stawały się obiecującymi, pełnymi wdzięku damami. Uchodziły za panny urodziwe i szczerze obdarzone wdziękami. Może trunkowi przyjaciele Tommiego mieli nadzieję na premię w postaci młodej, wesołej panienki do łóżka. Być może tak było. Oszczercy dawali do zrozumienia, że Lina zezwala na te uciechy, ponieważ w obecności skąpo ubranych pańienek ludzie honoru robią się rozrzutni, bardziej hojni na pieniądze i cenne drobiazgi, które w tamtych latach rzadko trafiały się w domu.

Tak, uważano je za warte grzechu, te siostrzenice Liny; w tym tłumie jednak najbardziej wyróżniała się Gogo. Wielu chciało oddać za nią cały majątek. Gogo jednak była wybredna. Kiedy w końcu powiła dziecko, to nie z jakimś miastowym świntuchem w gumiakach i czapce uszatce. Nie, powiła dziecko z włoskim lotnikiem, który międzylądował w mieście. I owe małe dzieciątko płci żeńskiej otrzymało włoskie imię: Dorothea Guiccardini. To była Dolli. Możliwe, że była większą patriotką niż jej mama, bo nigdy nie używała swego włoskiego imienia. Nie nauczyła się go nawet wymawiać.

Gogo uparcie trzymała się obcokrajowców: dziewczę, które zmarło przy porodzie, przypisane było do fińskiego atlety. Potem zaręczyła się z duńskim młodzieńcem ze statku szkolnego, a kiedy ten odpłynął pod wzdętymi żaglami, Gogo powiła maleńką i cherlawą dziewczynkę, która na prowizorycznym chrzcie otrzymała imię Ulla; dziecku udało się przeżyć.

Gogo miała dużo miłości do tych małych istotek, chociaż nie pozwalała sobie na to, by ich choroby czy śmierć wyprowadzały ją z równowagi. Zawsze była pełna życia, wyluzowana i nie miała skrupułów przysparzając więcej półobcych dzieci temu światu: kilka miesięcy przed wylądowaniem aliantów zaszła w ciążę z pierwszym synem, samym Baddim, który, jak twierdziła, był potomkiem niemieckiego dyrygenta, wielce wykształconego człowieka. I syn otrzymał jego germańskie nazwisko: Bjarni Heinrich Kreutzhage.

W tych latach Stary Dom jeszcze nie istniał. Cała wielka rodzina mieszkała w lepiance, którą później nazwano Starą Lepianką, w odróżnieniu od Nowej Lepianki, do której wprowadzili się, kiedy Stary Dom

został zburzony... Potem Baddi nazywał lepiankę Auschwitz, a Tommi twierdził, że była ona początkowo przybudówką farmy Minnakot i na to miano zasłużyła. Poza tym pewnego pięknego dnia Tommi stał się wielkim templariuszem i przestał przepijać te niewielkie pieniądze, jakie trafiały się rodzinie. Mimo to w lepiance panowała piszcząca bieda, podobnie jak i w lepiankach dookoła. Osiedle wyglądało jak wydzielona wieś na mokradłach otaczających zabudowę miasta. Lecz powoli stolica wgryzała się w tę wioskę, tak iż w końcu otrzymała ona nazwę i numerację, podobnie jak inne dzielnice. Rodzina Liny i Tommiego zamieszkiwała teraz przy ulicy Minnakot siedem ce. Kiedy stołeczna zabudowa podpełzła definitywnie do dzielnicy Minnakot, przyniosła ze sobą powiew wielkiego świata: w najbliższej okolicy uwili sobie gniazdo alianccy okupanci, pobudowali koszary, które nazywały się *barracks*, czyli baraki. Wyglądały one niczym beczki położone na boku i na wpół wkopane w ziemię. Alianccy okupanci jeździli jeepami i mówili w języku, który mało kto rozumiał poza kilkoma światowcami, takimi jak hrabia Tomas spod numeru siedem ce. Wieczorami wędrował z rękami w kieszeniach do Camp Thule pogwarzyć z Angolami o wielkich handlowo-portowych aglomeracjach Cardiff i Aberdeen, w których znał każdą tawernę jeszcze z czasów pierwszej wojny. Lina była mniej zachwycona aliantami:

- Co oni tak podnoszą tyłki i mielą ozorem?! – pytała.
- Niemiec ma polski korytarz!

Damy z lepianek trzymały pewno stronę Brytyjczyków, bo często odwiedzały koszary. Możliwe, że po to, by dyskutować na tematy światowe. Do lepianki zaś

zachodzili z wizytami żołnierze. Przez jakiś czas nawet na łące przed jedną z nich stał namiot. Później Dolli twierdziła, że Tomas nie miał specjalnych kłopotów ze snem: podczas wojny spał i chrapał w najlepsze, choć płomień miłości tlił się w każdym łóżu.

Następnie pojawili się jankesi z kieszeniami pełnymi dolarów i z jednym z nich Gogo poczęła piąte dziecko, Danniego, który otrzymał imię po ojcu: Frank Daniel Levine, potem Tomasson.

Gogo nie zasypiała gruszek w popiele. W wieku dwudziestu sześciu lat była już matką pięciorga dzieci, a pod koniec wojny doszła jeszcze jedna córka. To było straszne. Kiedy dziewczynka miała zaledwie miesiąc, w lepiance wybuchła zaraza i dziecko zmarło, a wraz z nią zmarła również Ulla. Ale ona zawsze była cherlawa. Są nasiona.

Baraki to były nadzwyczajne domy. Twierdzono, że są efektem wytężonej pracy najzdolniejszych architektów Europy. Tanie jak barszcz i łatwe do postawienia. Dwa półkoliste szczyty z drewna, a między nimi wyścielany blachą falistą szkielec. Wewnątrz podłoga z desek ułożona na polodowcowej glebie Reykjavíku. Piec węglowy, z którego wychodził komin, a raczej rura.

W latach wojennych ludność strumieniem napływała do stolicy, ponieważ każdy mógł dostać pracę u okupanta. Między innymi przy stawianiu baraków. Całe dzielnice rozkładały się na żwirowiskach. Wyglądało to niczym pole namiotowe podczas Święta Parlamentu. Największe dzielnice były jednak czymś o wiele więcej, niż jakimiś tymczasowymi obozowiskami. To były

potężne koszary z arsenałami, magazynami zapasów, schronami przeciwlotniczymi i podziemnymi tunelami. Były tam także więzienia, stołówki, kina, kluby i sklepy.

Ale w barakach mieszkali tylko żołnierze. Tubylcza siła robocza wędrowała bez przerwy, z jednej izby piwnicznej do drugiej. Rodziny mieszkaly w ziemiankach i namiotach. Dzieci rodziły się w stajenkach.

Największych szczęśliwców stać było na złodziejskie czynsze. Inni pozostali na zimnie w błocie. Słabowici robotnicy i ich cherlawe żony. Samotne matki nie cieszyły się poważaniem, zwłaszcza jeśli ich dzieci miały obcokrajowców za ojców. Zarówno narodowa, jak i postępową prasę pisała dumna, że islandzcy džentelmeni mają zamiar stworzyć przymierze na rzecz bojkotu dziewcząt podejrzanych o stosunki z żołdakami. Postanowiono nie prosić ich do tańca na potańcówkach przy dźwiękach akordeonu. Wielu robotników lądowało w objęciach gorzały, przepijali tygodniówkę, ba, nawet dorobek życia. Inni doznawali okaleczeń na skutek wypadków przy pracy lub zapadali na zapalenie płuc, gruźlicę i inne bolączki spowodowane harówką. Następował rozkład rodzin. Marynarze ginęli na morzu wskutek sztormów i ostrzałów artyleryjskich, pozostawiając wdowy z dziećmi w nędzy, bez pracy na lądzie. Szacowni obywatele przerażeni patrzyli na tych nędzników kłębiących się po ulicach miasta. A tam na świecie dużo się działo. Niemcy dostali szach-mata; tym samym alianci mogli darować sobie okupację i pożegnać kraj. Pozostały baraki. Domy dla ubogich.

Hulabalabalei!